

JAK BŁĄDZIĆ SKUTECZNIE

– PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO W ROZMOWIE Z DOROTĄ KOWALSKĄ

FRAGMENTY KSIĄŻKI

BLIZNY DZIECIŃSTWA

Z czym się Panu kojarzy dzieciństwo?

Przypomina mi przedziwny tort, w którym są warstwy gorzkie, a zaraz obok przesycone słodkością. Dzieciństwo ma swoje rozmaite „epoki” i szczególną „logikę”, ma wiele wymiarów, z których każdy jest ważny i odrębny w smaku.

A nie jest tak, że w dorosłym życiu pamiętamy tylko smaki słodkie, a o gorzkich zapominamy?

Nie, nie. Z dzieciństwa pamiętam rzeczy straszne i rzeczy dobre. Nawet jeżeli to były małe sprawy. Pierwsze wspomnienie to scena awantury między rodzicami. Nie umiałem jeszcze chodzić, stałem w zamykanym drewnianym łóżeczku, pomalowanym na biało, które zrobił mój dziadek ze strony ojca²⁵, aw sąsiednim pokoju trwała potworna kłótnia. Więc, jak sama Pani widzi, nie zaczyna się dobrze. Ale bywało różnie. Doskonale pamiętam ciotki, takie przyszywane, które uważały mnie za biedną sierotkę i znosiły mnóstwo zabawek.

Biedną sierotkę?

Kiedy miałem dwa i pół roku, odszedł od nas mój ojciec. Wtedy, zwłaszcza na głębokiej prowincji, dzieciństwo bez ojca, który nie zginął, nie umarł, ale zostawił rodzinę, było uważane za coś gorszego, a rozwód za coś mocno naznaczającego, upośledzającego – i kobietę, i dziecko. Rozpad małżeństwa – tym nie można się było chwalić, mentalność prowincjonalna była bardzo patriarchalna, czasem złowroga. I spragniona kozłów ofiarnych. Tak więc dziecko bez ojca podlegało nieustannej przemocy ze strony rówieśników i ja tej przemocy też zaznałem.

Dlaczego Pana rodzice się rozstali?

Myślę, że niezgodność charakterów – to raz. A dwa – mój ojciec był niepoprawnym kobieciarzem. Sprzyjał temu jego zawód, bo był kierowcą wielkich ciężarówek, który jeździł nie tylko po województwie olsztyńskim, po Warmii i Mazurach, lecz także po całym kraju. Ojciec, trzeba to przyznać, miał niezły tupet! Będąc już mężczyzną żonatym, złożył propozycję matrymonialną jakiejś dziewczynie, wcale nie zamierzając się rozwodzić. Panienska mieszkała w Lidzbarku, w moim rodzinnym mieście. Ojciec został przyjęty przez jej matkę i potraktowany nader poważnie. Dopiero kiedy w domu dziewczyny objawiła się moja matka, legalna żona z dzieckiem wdrodze, czar prysł. Nie wiem, czy to była Jagoda, moja siostra, czy też to ja siedziałem w brzuchu mamy.

Innym razem ojciec zadurzył się nieprzypadkowo w pewnej mężatce z sąsiedniej ulicy i próbował się nawet wieszać z powodu tej nieszczęśliwej miłości. Odcięła go z wielkim hukiem moja babka, kobietka drobnitka, a trzeba wiedzieć, że mój ojciec to było wielkie, dwumetrowe chłopisko. Matka twierdziła nadto, że na Litwie, skąd ojciec pochodził, też zostawił jakąś – najzupełniej formalną – żonę z potomstwem.

Więc co miasteczko, to żona, można by powiedzieć. Za to w sprawach zawodowych był bardzo odpowiedzialnym człowiekiem, dzisiaj powiedziałoby się nawet – pracoholikiem.

Ma Pan żal do ojca o to, że Was zostawił?

Mam pretensje nie o to, że mnie zostawił, ale o to, że nigdy nie chciał mnie zobaczyć. Nigdy. Kiedy rozstali się z matką, osiadł ledwie dwadzieścia pięć kilometrów od Lidzbarka, w Bartoszycach. Wielokrotnie przejeżdżał przez nasze miasto, ale nigdy do naszego domu ani do mojej szkoły nie zaszedł. Babcia i ciocia ze strony ojca też nie uznawały mnie za kogoś godnego uwagi. Byłem dla nich kimś wrodzaju obcego bękarta, „bajstruka”, jak mówiono w prymitywnej kresowej gwarze. Mijały mnie bez słowa. Z nienawistnymi spojrzeniami, z zaciśniętymi ustami.

A Pana rodzeństwo jak to przeżywało?

Losy rodzeństwa też składają się na moją traumę dzieciństwa. Miałem o rok starszą siostrę. Nawet nie wiem, czy zmarła za mojego życia, czy ciut wcześniej, ale zdaje się, że wpierw ja się urodziłem, a chwilę potem ona odeszła. To było pierwsze dziecko moich rodziców – bardzo idealizowane i opisywane jako aniołek – później przyszedłem na świat ja. Wrodzynie mówiono o niej zawsze jak o słodkim dziecku, cichym i uśmiechniętym, używając zdrobnienia „Jadziunia”. Nigdy inaczej. Ale ja wolę mówić – nie wiem zupełnie czemu – „Jagoda”. Jakby śmierć uczyniła ją przedwcześnie dojrzałą – i zerwała z gorejącego krzaka życia.

Był jeszcze Janusz, który urodził się już po odejściu ojca. Żył dwa tygodnie, ale doskonale go pamiętam. Pewnego dnia ciotka, starsza siostra mojej matki, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła pod jeden z pokoi szpitalnych. Pielęgniarka wyniosła z niego zawiniątko. Do tej pory pamiętam żółtą twarzyczkę, taką buzię półtrupka.. „To jest twój brat” – powiedziała ciotka. Potem często matka brała mnie za rękę i chodziliśmy „na grób dzieci”, jak się między nami dwojgiem mówiło. Bardzo posępny rytuał, prawda? Byłem środkowym dzieckiem, jedynym, które przeżyło – i to też ma swoje znaczenie: jakbym po obu stronach życia, przeszłej i przyszłej, miał cienie śmierci.

Jak Pan zapamiętał matkę?

Była niedojrzała do małżeństwa, zawarła je, mając lat szesnaście – zgodnie z przedwojennym jeszcze kodeksem cywilnym. Została sama cztery lata później. Była ciągle dzieckiem tak naprawdę.

Z nikim się już nigdy nie związała?

Później byli rozmaici mężczyźni w jej życiu, a moje stało się koszmarem. Matka coraz częściej dostawała napadów wściekłości. Pamiętam pierwszy: przyszedł do niej kolejny narzeczony, ja pobiegłem na pierwsze piętro, aby zabrać jakiś drobiazg, a ona zepchnęła mnie w odruchu gniewu ze schodów.

Zawsze taka była?

Przez pierwsze lata dzieciństwa, gdzieś do okresu szkolnego, była dla mnie fajna, koleżeńska, bardzo miła. Później zaczęły się z nią dziać dziwne rzeczy. Nasilało się to z roku na rok: ataki przemocy, hysterii, agresji wobec mnie, ale także wobec siebie samej.

Biła Pana?

Wszystkim, co miała pod ręką: kijem, sznurem od żelazka, często za wykroczenia żadne albo urojone. Ciskała we mnie różnymi przedmiotami i wyzywała plugawymi słowami. Nienawidziłem niedziel, bo matka wracała wtedy z pracy wcześniej albo nie pracowała. A i potem już jako dojrzały człowiek przez długie lata nie wiedziałem, co ze sobą wte niedziele robić, bo ongiś były puste, wypełnione tylko przemocą albo oczekiwaniem na przemoc – i to je trwale naznaczyło. Kiedy miałem dwanaście lat, matka założyła nową rodzinę, a dla mnie nastał czas spania na strychach, wkuchniach i korytarzach, zawsze na takim pomarańczowym, nieładnym

i niewygodnym łóżku polowym. A później także u różnych, często przygodnych osób. Wreszcie, kiedy miałem szesnaście lat, zabrali mnie do siebie dziadkowie i zajęli się mną jak należy.

Jak Pan dziś myśli? Z czego wynikała jej agresja? Skąd brały się napady furii, wściekłości?

Matka bardzo kochała mojego ojca. Z czasem miłość do niego przekształciła się w nienawiść. A ja byłem jego ucieleśnieniem. Często więc słyszałem: „Zabiję cię, ty Litwinie skurwysynie”. Miałem siedem, osiem lat...

Matka przelala uczucia do ojca na Pana?

Tak. Byłem pod ręką, więc było jej wygodnie. Potem, jak już wspomniałem, założyła drugą rodzinę. Podporządkowała sobie ojczyzna i wedle własnego uznania wychowała Grażynę, córkę z drugiego małżeństwa.

Jest ona zresztą inteligentną kobietą, bardzo czytana, mimo że nie zdobyła formalnego wykształcenia, z ciętym, czasem nazbyt ciętym językiem i z wielkim talentem plastycznym. Wspaniale rysowała, co po niej chyba odziedziczyłem – jako dorosły malowałem nawet obrazy olejne.

Wybaczył Pan matce?

Próbowałem wiele razy do niej wracać, ale ona cały czas realizuje swój odwieczny scenariusz przemocy, już nie fizycznej, ale psychicznej. Poniża, szydzi, a potrafi być bardzo szydercza. Wpewnym momencie coś we mnie pękło, poddałem się, zrezygnowałem z odbudowy tej więzi.

Ale przecież matka musi być z Pana dumna! Wie, ile Pan osiągnął.

Doskonale wie. Duma jest jednak na sprzedaż, na zewnątrz, w domu traktuje mnie jak tamtego chudego, małego chłopca, z którym może robić, co tylko chce. Dzisiaj matka jest już starą, schorowaną kobietą. Współczuję jej, ale jest też moje życie.

Mam prawo do normalności, do jakiego takiego ładu, bo w dzieciństwie było szaleństwo, które zresztą wylewało się także poza dom.

Opowiem taką historię: miałem z jedenaście lat, kiedy matka poszła na operację, leżała w szpitalu, a ja się w tym czasie któregoś dnia bawiłem na podwórku. Wypytała jednak ciotkę, co robiłem w czasie, gdy ona leżała na stole operacyjnym. A ciotka powiedziała naiwnie prawdę. Matka wróciła ze szpitala i stłukła mnie na kwaśne jabłko. Bo przecież w trakcie operacji powinienem zachowywać powagę, żyć w rytuale żałoby, a nie biegać po podwórku i się bawić.

Kolejna trauma: w dzieciństwie i wczesnej młodości nigdy nie miałem pieniędzy. Nawet na lody, na drobiazgi. Wiosną przyjeżdżał pod szkołę, to było już liceum, samochód z lodami, wszyscy je kupowali, a ja sobie tłumaczyłem, że lody są niedobre, więc nie będę ich jadł. Nie mogłem zaprosić dziewczyny do kina ani kupić sobie książki. W pierwszych latach podstawówki dostawałem nierzadko zamiast śniadania butelkę, starannie umytą, a jakże. Musiałem ją sprzedać w skupie szkła, który był w pobliżu szkoły – i kupić sobie za to bułkę. Jeśli skup był nieczynny, butelka była niewymiarowa albo pracownik zapelnił już wszystkie skrzynki szkłem – nie było bułki, nie było śniadania. Notabene nie wolno było mi tej butelki wyrzucić, musiałem z nią się „trajdać” do szkoły i z powrotem do domu, bo przecież następnego dnia...

Do dziś nie umiem gospodarować pieniędzmi, bo w czasach, kiedy dziecko uczy się praktycznej ekonomii, nie miałem w kieszeni ani grosza. Mimo że ojciec płacił – zarabiał bowiem bardzo dobrze – wysokie alimenty. Nie dostawałem więc żadnych pieniędzy nigdy, nawet już jako prawie dorosły albo

zupełnie dorosły.

Kolejna historia: mój dziadek zmarł w trakcie mojej matury, między jej częścią ustną a pisemną, babcia była wtraumie. Więc znów byłem zdany zupełnie na moją matkę i ojczyma. A ci zaraz po maturze wpakowali mnie – objuczonego walizką z książkami, bo chciałem się przygotować do egzaminów wstępnych na uniwersytet – najpierw do ciężarówki z pracy ojczyma, a potem koleją oraz autobusem miałem sam już dojechać do Rynu, do zupełnie obcych mi ludzi, rodziców mojego ojczyma. Mimo że moim rodzicom nieźle się powodziło, mieli choćby własny samochód, co było wtedy wielką rzadkością, na drogę dostałem tyle co na bilety – wyliczone co do grosika. I wystarczyłoby, żebym zgubił dziesięć groszy, a ugrzązłbym na dworcu jakiegoś zapyziałego mazurskiego miasteczka. Zupełnie bezradny, bo przecież nie było telefonów – no i czym miałbym zapłacić za połączenie? Nie mogłem, a był upalny czerwcowy dzień, niczego się napić. I tak ze dwa tygodnie, zupełnie upokorzony i bez forsy, siedziałem u tych starych, nieznanym sobie ludzi w Rynie – na ich koszt oczywiście. I na ich koszt też musiałem wrócić do domu. Nie było to dla nich specjalnym wydatkiem, byli zamożni, ale zszokowała ich ta sytuacja. Podśledzałem przypadkiem ich rozmowę: „Boże, nie dali chłopakowi ani grosza na drogę”. Podobnie z egzaminami wstępnymi na Uniwersytet Warszawski, które wtedy trwały bardzo długo, prawie tydzień. Na ów tydzień oraz powrót do domu dostałem sto złotych. Bilety na kolej i autobus kosztowały wsumie pięćdziesiąt jeden złotych. Zostało mi czterdzieści dziewięć, czyli mniej więcej siedem złotych dziennie. Mieszkałem w akademiku Politechniki na Ochocie, wiele kilometrów od głównego kampusu Uniwersytetu, bilet autobusowy kosztował złoty pięćdziesiąt, więc żeby przeżyć – jedząc wyłącznie bułki z mlekiem – musiałem chodzić na piechotę na egzaminy i z nich na piechotę wracać. Wstydzilem się okropnie, byłem zmęczony i bardzo głodny. A na dodatek nie potrafiłem ot tak po prostu wejść do sklepu i kupić bułkę, bo nie mając żadnych pieniędzy, nigdy tego wcześniej nie robiłem.

Miał Pan tyle osób wokół siebie, żadna Panu nie pomogła?

Bicie i poniżanie dzieci było wtedy normalną praktyką wychowawczą. Bito chłopaków za to, że się nie uczyli, kogoś pobili, stłukli szybę, zachowywali się niegrzecznie. A ja byłem bity ot tak sobie. Za wszystko. Dziadkowie usiłowali się przeciwstawić przemocy w moim domu, dochodziło do okrutnych napięć między nimi a moją matką, ale byłem poniekąd jej własnością.

Nauczyciele niczego nie zauważyli?

Bywałem katowany przez matkę, miałem poprzecinane uszy sznurem od żelazka, ale kiedy nauczyciel pytał, co się stało, kłamałem. Opowiadałem niestworzone historie o bójkach z kolegami czy nieszczęśliwym upadku ze schodów, byle tylko się nie przyznać, jaką mam gehennę w domu. Tak było, kiedy pan Henryk Kaczyński, mój pierwszy wychowawca, dopytywał się, dlaczego mam sińce i porozcinane uszy – a ja mu powiedziałem, że pobili mnie jacyś chłopcy, choć to matka skatowała mnie za to, że straciłem taniutki sandalek (Grzesiek Romulewicz, klasowy nygus, puścił go z biegiem Symsarny podczas klasowej wycieczki). Na dodatek, za karę, przez kilka dni musiałem chodzić na bosaka do szkoły – wszystkie dzieci się z tego śmiały, a ja próbowałem chować nogi pod ławką.

Bite dzieci wstydzą się bardziej niż ich rodzice, prawda?

Strasznie się wstydzilem. Poza tym, jak już mówiłem, wychowywałem

się bez ojca, więc nie tylko matka się nade mną pastwiła: moi koledzy też uważali, że mogą mnie bić i poniżyć. Pewnego razu, miałem wtedy sześć lat, zostałem wywabiony z podwórka na ulicę przez dwóch innych sześciolatków, pod pretekstem, że mi coś pokażą. Wrzucili mnie do błota. Jeden był synem milicjanta, drugi działacza partyjnego, więc siłą rzeczy byłem na straconej pozycji. Ale tu matka stanęła na wysokości zadania – może uznała, że tylko ona ma prawo mnie bić? Zrobiła piekielną awanturę, nawymyślała ich rodzicom od stalinowców. Trzeba zresztą przyznać, że miała w sobie dużo odwagi, także tej politycznej. W stanie wojennym tylko dwie osoby w szpitalu, w którym pracowała, nosiły odznaki „Solidarności” – ona i bardzo stary chirurg, który też nie bał się niczego. Tak, wobec komunizmu była nieustraszona. Kiedyś przyniosłem pożyczony od kolegi „Świat Młodych”, żeby obejrzeć obrazki z Tytusem, Romkiem i Atomkiem. „Nie będziesz mi przynosił tych komunistycznych szmat!” – wrzeszczała na cały dom.

Ma Pan, Profesorze, jakieś przyjemne obrazy w pamięci związane ze swoją matką?

Pamiętam, jak bieглиśmy nad rzekę, jak usiedliśmy nad brzegiem. Jacyś robotnicy reperujący most podrywali matkę i krzyczeli do mnie: „Słuchaj się, mały, siostrzyczki!”. Pamiętam śmiech matki – jasny, swobodny. I ten bieg. Albo numer z pestką. Matka siedziała na drzewie i zrywała wiśnie, rzucając mi je na dół. Miałem trzy, może cztery lata, siedziałem pod tą wiśnią. „Pestka” – mówię nagle. „Pestka” – powtarzam. A matka pyta: „Gdzie?”. „Nosie” – odpowiadam. Jednym susem zeskoczyła z drzewa, nacisnęła mój nos i ta pestka wyskoczyła. Pracując na oddziale dziecięcym, miała zresztą nieustannie do czynienia z takimi przypadkami, bo dzieci wpychają sobie do nosów przeróżne rzeczy. Pamiętam też, jak któregoś dnia, po tym, jak podniesiono mi alimenty, przyjechała z Olsztyna z nowiutką książką dla mnie, była to „mała trylogia” Sienkiewicza (*Stary sługa, Hania, Selim Mirza*). Wogóle czytała mi i opowiadała wiele. Pamiętam też choinki w jej pracy, w szpitalu. Wystrojony w białą, wykrochmaloną koszulę, zawsze musiałem wygłosić najdłuższy wierszyk – ale stała za tym materialistyczna ambicja, ponieważ najdłuższy wierszyk był nagradzany największą paczką (*śmiech*). Wyrecytować Pani Redaktor jakiś – na przykład o chłopczyku, który przechodził odrę, taką dziecięcą chorobę? Ja ją też przechodziłem, no imatka bardzo troskliwie siedziała przy mnie. Więc jeśli mnie Pani pyta o jasne, dobre obrazy dzieciństwa, to było ich sporo. To nie jest zatem tak, że cały czas było tylko ciemno, brzydko i źle.

Tylko że pamięta Pan te złe obrazy?

Było ich zdecydowanie więcej. W pamięci mam taką scenę: matka w dziwnym szale zaczyna się tłuc jak goryl w piersi, nabija sobie dużego, czarnego sińca i twierdzi, że to ja, dziesięcioletek, tak ją uderzyłem. Ni stąd, ni zowąd. Bawiła się ze mną, a tu nagle zwrot akcji: zaczyna się tak bić w piersi i wrzeszczy. Miota się z tym ogromnym sińcem po całym domu. Przeróżające zupełnie.

Myśli Pan, że dzieciństwo ma aż taki wpływ na nasze życie?

Zasadniczy. Nie ma wyjścia. To znaczy: nic tak nas nie określa jak dzieciństwo. Cała reszta to tylko przypis do dzieciństwa. Dostajemy gotowy i bezwzględny scenariusz, a reszta to tylko szczegóły.

Mam – chociażby – z tamtego czasu, tak to odczuwam, okresy

nadmiernej jałowości i stany depresyjne, które przeżywam bardzo ciężko. Niedawno zresztą taki właśnie mnie dopadł. Nie znałem ojca, ale rok temu dowiedziałem się z internetu, że umarł. Nie miałem nawet jego zdjęcia. Ktoś znajomy zrobił fotkę grobu i dopiero wtedy zobaczyłem twarz ojca: na nagrobnym zdjęciu. Odezwał się we mnie jakiś głód tamtego czasu, to był impuls, który spowodował, że zacząłem się pogrążyć w smutku, w najgłębszej melancholii. Miałem przygnębiające poczucie czegoś straconego, zacząłem rozpamiętywać wszystkie nieszczęścia swojego życia. Ana ten stan nałożyło się zmęczenie, mikrozawał... I coś tam jeszcze. Wszystko przyszło w jednym czasie, w ciągu miesiąca.

Przyszła depresja.

Straszna. I dopiero teraz, po roku, zaczynam się z tego wyczołgiwać. Zawaliłem wiele spraw zawodowych, zamknąłem się w sobie. Teraz próbuję to wszystko nadrabiać. Ale wyłączenie z czegoś takiego jest trudne. Człowiek jest po takich doświadczeniach niczym pęknięty dzwon, taki dzwon, któremu serce pękło. Dzwoni, ale dzwonieniem cokolwiek niewłaściwym, nawet mocniej – głuchym i kalekim. Doznawszy złego dzieciństwa, człowiek ma bowiem poczucie, że w jakiejś mierze nie jest tym, kim mógłby być. Że mógłby być lepszy, osiągnąć więcej, nie zrobić tylu a tylu głupstw, nie dokonać fałszywych, złych wyborów.

Gdyby scenariusz życia był bardziej pozytywny, nie musiałby się łączyć z takimi trudnościami, przegrany, klęskami.

Właśnie. Dzieciństwo jest rodzajem fatum. Strasznie ciężko jest przekroczyć złe i szkodliwe dla siebie samego zachowania wyniesione z dzieciństwa. Jestem – zważywszy na moje doświadczenia – bardzo spokojnym człowiekiem, ale wykonuję nerwowe ruchy, nieskładne, niesprecyzowane. Wszyscy mnie więc biorą za nerwicowca, a wcale nim nie jestem. Ten widomy trzepot wyniosłem właśnie z dzieciństwa, stamtąd wzięłem to drżenie, tę niepewność.

A jednak ludzie tak chętnie wracają do wspomnień z dzieciństwa. Dzieci mają w sobie siły witalne, których nam powoli z czasem zaczyna brakować. Inna rzecz, że wypieramy z dzieciństwa różne wspomnienia. Lecz tak naprawdę nigdy nie przekraczamy scenariusza dzieciństwa. Wspomnienia o nim to wcale nie jest powrót. To przeżywanie go jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz na nowo. Dzieciństwo jest nieodpartą granicą i scenerią całego naszego losu. Wszystko tam się rozstrzyga – reszta, jak powiadam, to tylko dopełnienie, to dodatki, ozdoby, poprawki.

Czyli jesteśmy tym, czym przesiąkliśmy w dzieciństwie?

Tak, w zdecydowanej większości. Ale często mitologizujemy dzieciństwo: wydaje nam się, że byliśmy wówczas lepsi, podczas gdy w dzieciństwie nie mamy jeszcze porządnego rozróżnienia między dobrem i złem. Ktoś inny bierze za nas odpowiedzialność, dokonuje wyborów. Jesteśmy wtedy niczym Adam i Ewa przed zjedzeniem jabłka. Później, kiedy znamy już smak tego owocu z drzewa poznania, tęsknimy za czasem, kiedy nie ponosiliśmy kary za grzechy, i przywołujemy rajskie obrazy dla nazwania, dla opisanego dzieciństwa.

Pan ma dzieciństwu za złe, że tak bardzo nas naznacza?

W gruncie rzeczy dzieciństwo jest najpotężniejszymi kajdanami, jakie nam zafundowano, a my bierzemy te kajdany za coś zupełnie innego: za dar i wolność.

LOS, PRZEZNACZENIE, FATUM

Dzieciństwo ma tak ogromny wpływ na naszą podświadomość, iż kieruje naszym działaniem?

Tak. Na przykład zmusza nas, abyśmy za wszelką cenę, historycznie wręcz, często bardzo nierozsądnie, kompensowali sobie straty, bóle, niedokonania, których doznaliśmy w dzieciństwie.

Szaleńczo usiłujemy więc pewne rzeczy spełnić, nadrobić. Jeśli – chociażby – odczuwaliśmy głód miłości, bo nikt nas jako dziecka nigdy nie przytulił, nie okazywał nam czułości albo dawał tej czułości zbyt mało, będziemy szukać w dorosłym życiu miłości na osłep. Albo przeciwnie, jeśli zostaliśmy w tym dzieciństwie „przewartościowani”, jako ludzie dorośli będziemy nierzadko zakładali, że wszystko z automatu nam się od losu należy, i dziwili się bardzo, że inni mają na ten temat zgoła odmienne zdanie.

Są badania, z których wynika, że bardzo wiele dziewczynek wychowanych w rodzinach patologicznych, w których ojciec pił i nadużywał przemocy, szuka sobie później dokładnie takich samych partnerów.

Tak właśnie jest. Te dziewczynki powielają bowiem losy swoich matek. Ta prawidłowość dotyczy także chłopców. Znam rodziny, w których bezrobotny ojciec i bezrobotna matka wychowują bezrobotnych synów – ci chłopcy w dorosłym życiu nie umieją i nie chcą znaleźć sobie pracy. Nikt nie nauczył ich determinacji, walki, nie czują potrzeby realizowania się w życiu zawodowym. Łatwiej wychodzą z takich sytuacji dziewczynki – za sprawą sensownego partnera, jeśli mają szczęście takiego znaleźć. Stąd jedynym ich marzeniem, marzeniem wszystkich tych udręczonych i – co tu dużo ukrywać – głupiutkich dziewczyn z popegeerowskich wsi i lumpenproletariackich dzielnic miast, jest pragnienie, „żeby nie pił”. Z reguły to się nie udaje, bo szukają takich na ogół we własnym środowisku i wedle byle jakiego klucza. Takiego, którego dostarczyły im matki i prostackie telewizyjne seriale. Oczywiście, istnieje pewna skłonność do powielania losu rodziców, to raz, ale jest też kwestia kompensat, o których mówiłem. Niezrealizowanych pragnień, które za wszelką cenę próbujemy spełnić.

Które mają największy wpływ na nasze dorosłe życie? Brak miłości?

Upokorzenia moralne, krzywdy fizyczne – to się najmocniej w nas odciska. To w nas wypalony wzór. Wzór wypalony do kości. Ludzie, którzy w dzieciństwie doznali jednego lub drugiego, a często oba te doświadczenia idą ze sobą w parze, są jak naznaczeni piętnem i najczęściej całe dorosłe życie podporządkowują zrekompensowaniu sobie tego, czego doświadczyli jako dzieci.

Dlaczego jesteśmy samotni? Dlatego że każdy z nas jest inny?

Każdy jest inny, każdy jest – jak mówi wyświechtana, ale trafna maksyma – osobną wyspą. Czasem pojawia się oczywiście pragnienie bycia tym drugim, bycia Tobą, chęć absolutnego stopienia się – na przykład w związku miłosnym. Takie uczucie, chęć nierozdzielności, występuje też – domyślam się – w relacjach matki i dziecka. Ale doskonale wiemy, że zawsze będziemy innym ciałem, inną osobą. I nawet w przypadku bliźniaków, tak mocno ze sobą związanych, są zawsze dwie osoby, nie jedna. I nigdy nie będzie tak, że drugi człowiek do końca nas zrozumie? Nie ma sposobu. Niektórzy mówią, że Bóg nas zrozumie. Ale ponieważ jestem człowiekiem, któremu bliższa jest niewiara

niż wiara, nie liczyłbym w tej materii za bardzo na Boga. Na Jezusa z Nazaretu tak -jako na pocieszyciela, jako na samotnego i solidarnego w tym sensie, o którym mówił Camus, ale na Boga nie do końca. Poza jednym ewentualnie: że będzie dawcą mojej śmierci. I śmierci wszystkiego, co żyje.

Dopada nas nadto bezwyjściowość losu, której rozum nie potrafi ogarnąć?

Tak. Wyleźliśmy przecież z jakiejś tam czarnej jamy, z jakiejś studni nicości, zostaliśmy bez naszego zachcenia wydani na świat, jakieś wyroki, niezbadane przypadki albo konieczności powołały nas do istnienia, bez pytania o zdanie. Bez naszego też zachcenia przepadliśmy winnej czarnej dziurze. I nie mamy żadnego punktu oparcia, jak mówi Sartre. Inny człowiek to piekło, nie ma żadnego wiecznego Boga, żadnych wiecznych zasad, wiecznych idei, wiecznej materii nawet, a kamienne tablice zostały strzaskane.

Co zatem? Mamy popaść w poczucie absurdu, rozpacz?

Nie, mamy coś. Nie możemy zapominać o jednym: będziemy tym, kim siebie uczynimy. Można uczynić siebie dziwką, przestępcą, zaprzańcem, można uczynić siebie zakonnikiem, artystą, lekarzem, przyzwoitym pracownikiem, dobrym po prostu człowiekiem. Doktor Bernard Rieux, bohater słynnej powieści Camusa, angażując się w walkę z dżumą, buduje siebie jako człowieka, staje się tym, kim chce się stać. W Dżumie jest też ten cholerny staruszek, który pojawia się na początku, a potem znika bez śladu. To obrzydliwa postać. Strasznie mnie wkurza, bo jest ucieleśnieniem losu byle jakiego. Rzuca bezpańskim kotom kawałki papieru z okna, a kiedy zwierzęta – niecznie zwabione, głodne – podchodzą, pluje na nie, straszy je i śmieje się okropnie. Mamy więc wybór między doktorem Rieux a tym ohydny starcem... I dwa bieguny naszego losu, samotność i solidarność. Ale – co u Alberta Camusa (i jako pisarza, i jako człowieka) jest bardzo znamienne – te dwa bieguny powinny gdzieś się sprząc. Jesteśmy bowiem zawsze samotni, ale tę drastyczną samotność możemy w pewnym stopniu przełamać przez solidarność, wypełniając sens własnego życia. Budując istotę własnego człowieczeństwa

- przez zaangażowanie właśnie i działanie dla innych.

Czemu ludzie dokonują takich, a nie innych wyborów? Czemu złych?

Nie ma jednej motywacji. Myślę, że tak naprawdę z lęku – żeby przetrwać, wzmocnić, nasycić własną egzystencję rzeczami, których inni nie mają. Władzą, miłością, pieniądzem, pozycją społeczną. I ten lęk jest tak potworny, że oślepia. Prowadzi do zachłanności we wszystkich tych materiach, do przemocy fizycznej, symbolicznej, psychicznej. Tak, myślę, że lęk jest fundamentem tego wszystkiego. Bo gdzieś tam zawsze czai się nasza skończoność. A jak będę silniejszy, jak będę bogatszy, jak będę zaspokojony, to sobie mocniej z tą skończonością poradzę. Może nawet przedłużę swoje życie. Wydrę komuś chleb, wydrę miłość, wydrę pieniądze, wydrę władzę. Ale w tym momencie trzeba spojrzeć na korowody tańców ze śmiercią, bo co one nam mówią? Ani korona, ani uroda, ani pozycja społeczna cię nie uratuje. Ciach, i już. Umrzesz.

Ale co Pan ma do dekalogu? W czym on Panu przeszkadza?

Nie rozwiązuje problemów współczesnego świata, nie każe ludziom stanąć im naprzeciw i działać. Cóż z tego, że nie zabijamy, nie kradniemy, nie cudzołożymy, jeśli nie potrafimy nic zrobić dla umierających z głodu dzieci czy dwunastoletnich chłopców wysyłanych na pola walki.

Powiemy sobie: „To nie my posyłamy tych chłopców na pewną

śmierć”.

I już. Nie my posyłamy. Ale posyłają nasze rządy, które wybraliśmy, rzucając kartki do urn.

Czy można powiedzieć, że jako jednostki jesteśmy coraz bardziej wrażliwi, a jako zbiorowość coraz mniej?

Owszem. Uważamy, że jesteśmy bezradni jako zbiorowość, podczas gdy tak nie jest. Mówimy na przykład o Holendrach – demokratycznych, otwartych. No a dlaczego to holenderskiego generała, który pozwolił wejść serbskim zbrodniarzom do Srebrenicy i wymordować tam wszystkich chłopców imężczyzn, nie napiętnują? Nie ścigają? Był dowódcą uzbrojonego po zęby batalionu Holendrów, nowoczesnie wyposażonego. Jeden telefon, radiotelefon, impuls radiowy i ściągnąłby za chwilę resztę sił natowskich. Ale Serbowie wiedzieli, że nic nie zrobi, że jest sparaliżowany społeczną znieczulicą. Jest taki film dokumentalny, przez nich samych chyba zrobiony, kiedy przychodzą do niego. „Masz, napij się z nami wódki” – mówią. Pije niczym bezwolna kukła. A potem rozpoczyna się rzeź. I ci wspaniali Holendrzy ze swoją wspaniałą demokracją pozwalają owemu generałowi funkcjonować, nie postawią go przed trybunałem – jako współwinnego tej okropnej zbrodni. Inna sprawa: dlaczego Holendrzy czy Niemcy pozwalają na handel żywym towarem? I dlaczego, jeśli z niemieckiego czy holenderskiego burdelu ucieknie jakaś porwana dziewczyna z Europy Wschodniej i uda jej się dostać „pod opiekę” niemieckiej czy holenderskiej policji, to poniesie jeszcze karę za pracę na czarno? Warto zadać sobie zatem pytanie: dlaczego nie reagujemy? Dlaczego nie powiemy: „Nie”? Dlaczego potężne państwo, myślę o Ukrainie, jest głównym rynkiem brutalnego eksportu kobiecych ciał, a sprzeciwia się temu ledwie grupka tych dziesięciu czy dwunastu radykalnych feministek z grupy Femen?

To nie nasza sprawa, nie czujemy się winni takiej sytuacji. Przecież myśmy tych dziewcząt nie porwali.

Właśnie. Rozbudowaliśmy strasznie wrażliwość indywidualną, a nie rozbudowaliśmy solidarności tak naprawdę.

Zbiorowość nas rozgrzesza.

To też. Zawsze możemy powiedzieć: „To nie ja, to inny. A co ja tam mogę? Jestem słaby”. W Polsce masa ludzi nie chodzi na wybory, żeby potem powiedzieć: „Ja nie wybierałem tych polityków”. Żeby mieć spokojne i czyste sumienie, podczas gdy naprawdę go nie mają, bo jak nie poszli do wyborów, to głosowali przecież na zwycięzcę, na „układ”, któremu jakoby są przeciwni. Nie dopuszczają przy tym do świadomości, że mieli wpływ na wynik. Co z tego, że im powiemy tysiąc razy: „Głosowałeś, bracie, nie głosując. Zgadzasz się na ten układ, który wyłonią inni za ciebie”. Możemy to powtórzyć wielokrotnie, i nic. Wytworzyliśmy bowiem cholernie mocne systemy immunologiczne – i jako zbiorowość, i jako jednostki także.

Czy to nie jest paradoks, że nie mamy wpływu na los własny, a mamy na los innych?

Zgadza się, to paradoks. A czasami dramat, bo mamy także zębny wpływ na los innych. Chociażby przez grzech zaniechania. I jeśli dopuścimy się go wobec innych, wpędzamy się w poczucie winy. A im bardziej się w nie wpędzamy, tym bardziej chcemy udawać, że jesteśmy niewinni, i kłamiemy na swój własny temat. Ja także tak czynię. Bo, kurczę blade, czemu mnie dzisiaj nie ma przed Sejmem albo przed budynkiem prezesa Rady Ministrów z transparentem: „Panie Premierze, w Demokratycznej Republice Konga albo w Darfurze umierają ludzie, masowo gwałcone są kobiety, zmusz Pan swoich kolegów

rzządzających Unią, żeby coś z tym zrobili. Zmusz ich Pan!”.
Dlaczego nie ma takich ludzi w Paryżu? W Hadze? Siedzę w kawiarni i z Panią na ten temat rozmawiam, zamiast coś, do cholery, zrobić.

Jak w takim razie uporać się z fatum i własnym losem?

Znowu muszę uciec do Koheleta, bo on jest moim przewodnikiem. I do starych maksym, które mówią, że jeśli chcesz zacząć zmieniać świat, zacznij od siebie. Chcesz wyplątać się z karbów losu, z tych przeklętych młynów czy trybów, zacznij od posprzątania pokoju. Zacznij od małych rzeczy. Powinniśmy iść pod parlament, powinny tam pójść miliony ludzi i zażądać czegoś w imieniu tych milionów, które nie mają takiej szansy. Możemy bowiem walczyć z fatum poprzez solidarność.

Trzeba walczyć ze sobą i małymi niesprawiedliwościami wokół siebie?

Trzeba się upomnieć o kolegę, którego niesprawiedliwie wyrzucają z pracy. O koleżankę, która nie zasłużyła na dwójkę. Omolestowaną przez zwierzchnika kobietę. O kogoś, kogo chcą pobić w tramwaju.

Trzeba być po prostu uczciwym.

W najdrobniejszych nawet sprawach. Nie wierzę w marksistowskie prawo o przejściu ilości w jakość, ale mimo wszystko mam wrażenie, że z takich kropli może powstać rzeka. Konieczna jest świadomość, że z jednej strony zapomnieliśmy o żydowsko-chrześcijańskiej wrażliwości, o powinności moralnej wobec innych, z drugiej strony oddajemy się takiemu niby to humanizmowi bez konkretnych działań – w obronie Tybetu albo białoruskich opozycjonistów przed ambasadami ohydnych reżimów protestują garstki ludzi, głównie lewicowej młodzieży i uchodźców, nie ma tam autorytetów. A tak naprawdę pośrodku jest coś bardzo ważnego, czyli praktyczne działanie na tych małych polach. Weźmy mobbing w pracy – badania pokazują, że bardzo niewielu ludzi solidaryzuje się z mobbingowanymi. I na tym polega kłopot! Nie na tym przede wszystkim, że mobbing istnieje, nie na tym, że szef, szefowa czy koledzy prześladowają. Tylko na tym, że w takiej sytuacji nie spotykasz się z solidarnością drugiego człowieka.

I rozmowa o losie i fatum doprowadziła nas do solidarności, do rozmowy o dobru i złu.

Solidarność i samotność. Trzeba cały czas między tymi dwoma biegunami miotać się i błędzić, niestety. Cała sztuka polega jednak na tym, aby błędzić w miarę rozumnie i jako tako uczciwie.

NIE TYLKO O KOBIECIACH

Co Pana w kobietach najbardziej pociąga? Intelpekt? Uroda?

Wszystko. Lubię kobiety. Uwielbiam kobiety. W każdym wieku, w każdym kształcie, w każdej postaci.

Szczupłe i grube.

Te rude i te ciemnowłose. Moi studenci zupełnie się w tym gubią. Jedni twierdzą, że lubię duże rudowłose, inni - że chude blondynki. Oczywiście nabieram ich, bo nie zwierzam się im z własnego gustu. Za każdym razem moje fascynacje są zresztą indywidualne. Nie kieruję się jakimiś zasadami ogólnymi, jakimiś stereotypowymi wzorcami - liczy się tylko ta oto osoba, i już. Nie tylko w sprawach damsko-męskich. Jak już mówiłem, byłem wychowywany przez kobiety i one zawsze mnie fascynowały. Zawsze uważałem też, że ich los jest o wiele trudniejszy, bardziej bolesny, niż nasz, mężczyzn. To trochę naiwne, bo są kobiety, które przy pozorach bycia kruchymi istotami, istotami delikatnymi i wrażliwymi, są straszliwie okrutne.

Podobno okrutniejsze od mężczyzn.

Ponoć tak, ale nie chcę się posuwać do takich uogólnień. Choć rzeczywiście, kobiety mają w sobie nierzadko taki rodzaj okrucieństwa, który bardziej razi. Pytała mnie Pani jednak o fascynacje: jesteście bardziej złożone od nas, bardziej skomplikowane, bogatsze wewnętrznie.

I z czego to wynika?

Myślę, że z historycznej i biologicznej roli kobiety. Zagnaliśmy was w pewnym momencie do jaskini, a sami prowadziliśmy życie zewnętrzne - łowiecko-wojownicze czy wędrowne, koczownicze. A wy w tej jaskini rozwijałyście warstwę, której myśmy nie rozwinęli w sobie - warstwę uczuciowości, skomplikowanie psychiczne. Psychika kobiet jest więc znacznie bardziej subtelna, wyrafinowana, w każdym sensie tego słowa. Kobiety nie muszą się uczyć z podręczników, jak prowadzić życie psychiczne czy życie wewnętrzne. Podczas gdy mężczyźni - dla których uczucia są też przecież ważne - przyzwyczajeni czy wyuczeni, że liczy się przede wszystkim świat zewnętrzny, bo w nim przychodziło im przez tysiąclecia żyć, tłumią i chowają te uczucia. Niechętnie o nich mówią, tak jak zresztą ja sam, mimo że chowany byłem przez kobiety. Poza tym mężczyźni łączą swoje samospelnienie bardziej ze światem zewnętrznym niż wewnętrznym. A z tyłu, gdzieś za sobą, muszą mieć spokój, własne stadło domowe, uporządkowane i bezpieczne życie, bo wtedy czują się pewniejsi. Kobiety mają zresztą bardzo często pretensje do mężczyzn, że żyją właśnie tym życiem zewnętrznym.

Co jeszcze Pana w kobietach fascynuje?

Oczywiście ja, jako mężczyzna brzydki, jestem esteta. Jest powiedzenie, że mężczyźni wystarczy, aby był ciut przystojniejszy od diabła, ale mimo wszystko wolałbym wyglądać jak Paul Auster niż jak ja sam.

Chyba Pan kokietuje.

Proszę mi wierzyć, **b a r d z o** wolałbym wyglądać jak Paul Auster. Ale wracając do kobiet - są tą ładniejszą częścią ludzkiego świata, chociaż nie zawsze i nie wszędzie tak sądzono. Więc ich życie częściej łączy się z troską o to, aby wyglądać i zachowywać się lepiej, w taki bardziej estetyczny sposób - bez brutalnych gestów, wrzaskliwych głosów. Choć to się teraz bardzo zmienia i młodym kobietom udzielają się, często karykaturalnie i przesadnie, chamskie odruchy facetów. Oczywiście kłójące się kobiety to coś przerażającego i odrażającego, ale może właśnie dlatego, że panie unikają na ogół pewnego typu ekspresji związanej z brutalnością i nieestetycznością. Poza tym działa też oczywiście biologia, to jasne: nawet w przypadku ludzi tak starych jak ja trzepoczą hormony i czegoś ode mnie chcą. Trzeba jednak spojrzeć prawdzie w te szare oczęta (*śmiech*). Ale naturalnie są pewne typy kobiet, które bardziej mnie pasjonują.

Jakie to są typy?

Myślę, że bardziej fascynują mnie kobiety, które wskazują samą swoją fizycznością na większą subtelność. I estetyzm. Tak było na przykład, kiedy zadurzyłem się w swojej żonie.

W dzieciństwie uważałem ponadto, że kobieta piękna nie może być kobietą złą. Nawet wróżki z baśni, romantyczne piękności, które odurzały otaczających je mężczyzn, nie mogły być w moim mniemaniu potworami. Do dzisiaj okropnie się więc rozczarowuję, bo życie dowodzi, że piękne kobiety potrafią być straszne i bezwzględne. Potrafią zniszczyć wielkich jak góra, twardych chłopów, którzy radzą sobie w rozmaitych sferach życia, a wobec nich są bezradni. Niekoniecznie dlatego, że są okrutne, choć najczęściej tak bywa – ale czasem z wręcz przeciwnych powodów. Opowiem taką historię: niejaki Zbychu...

Pana przyjaciel?

Nie, nie przyjaciel - przygodny znajomy sprzed lat. Duży facet, który miał z pierwszego związku dorodną córkę, pracował na czarno na jakichś budowach w Niemczech, a potem zakładał anteny na dachach, który zawsze trzymał nóż za cholewą, bo - jak mówił - trzeba było się bić z Jugolami i Turkami, i który siedział zresztą trochę w więzieniu. Zbychu lubił wypić, a jak wypił, to się szarogęsił. Miał partnerkę - Zuzię: wątłą, schorowaną, subtelną. Kiedyś zastałem Zbycha na korytarzu jego bloku. Ten człowiek góra, skłonny do przemocy, alkoholu, męskiego tubalnego wrzasku, stał oparty o ścianę - bezradny, załamany - i trząsał się jak osika. Zuzia usłyszała właśnie wyrok - miała raka. I nagle cały męski „dym” wzniesiony przez Zbycha, to wypinanie torsu, ta rzekoma pewność siebie, ten teatr męski rozleciał się w drobiazgi, bo Zuzia była dla Zbycha wszystkim.

No, a czasami tak mówię do studentów facetów: „Jeśli chcecie się okazać naprawdę mężczyznami, to znajdźcie sobie taką subtelną, drobnutką dziewczynkę o pięknych oczach i delikatnych rączkach, zakochajcie się w niej nieprzytomnie i bezgranicznie, a potem ona wami tymi drobnymi rączkami wyrwie serce i rzuci w śnieg. I będzie bolało do końca życia. No, ale to jest zabawa dla prawdziwych mężczyzn”. Kobiety potrafią bowiem zadać ból straszny, taki, z którego nie można się wyzwolić.

Ale typ chłopczycy by Panu bólu nie zadał?

Raczej nie. Lubię kobiety konwencjonalne, zgodne ze stereotypami kobiecości: delikatne, łagodne, solidarne - mądre, więc i krytycznie - ze swoimi mężczyznami, opiekuńcze. Ale i wrażliwe intelektualnie, z ambicjami poznawczymi i rozumnym dążeniem do zdobycia czegoś więcej niż ciepłe gniazdko.

Nie lubię natomiast kobiet, które w sposób wyrachowany przymilają się do facetów, łaszcząc się jak kotki - zresztą nie tylko do facetów, ale do innych kobiet także, aby uzyskać jakieś wymierne dobro. No, a kiedy już dostają, co chciały, wyłazi z nich zupełny brak uczuć, zimna bezwzględność. Ale i niektórzy mężczyźni też tak mają...

Nie lubię bardzo kobiet bezczelnych, rozpychających się łokciami, wrzaskliwie domagających się rozmaitych świadczeń, a przynajmniej tolerancji dla ich agresywnych zachowań. Oj, bardzo ich nie cierpię.

Czego Pan w kobietach jeszcze nie lubi? Co Pana w nich irytuje?

To, że kobieta chce być często w złych historiach, w uczuciowych konfliktach, wszystkim: stroną, sędzią i katem. I rzadko ustępuje z raz obranej ścieżki, trzymając się jej bezwzględnie, z uporem godnym lepszej sprawy. Myślę więc, że kobiety są bardziej od nas uparte: mówią „nie, nie” albo „tak, tak” - i już. Nie zmieniają raczej zdania pod wpływem nowych okoliczności, choćby było ewidentnie błędne i prowadziło na jakieś manowce (mówię „raczej”, bo nie zawsze przecież tak bywa). Co więcej - wielokrotnie na rozmaitych przykładach to obserwowałem - nie mają z tego powodu absolutnie poczucia winy. Mężczyzna, kiedy na przykład zdradził, wie, że zrobił źle. Zachowuje się rozmaicie, czasem chamsko, ale zdaje sobie sprawę, że winna związana ze zdradą

leży po jego stronie. Wie, że nabroił...

Kobiety też wiedzą, że nabroily.

Otóż nie, a przynajmniej bardzo niechętnie to wyrażają wprost. Kobiety zawsze mają nadto chmarę usprawiedliwień.

Podobnie jak mężczyźni.

Tak, to prawda. Kobiety jednak mocniej racjonalizują swój czyn, uzasadniają na tysiące sposobów. Twardo i bezdyskusyjnie. I nie chodzi tylko o zdradę, ale o rozmaite inne zarówno drobne, jak i poważne złe rzeczy. Kobięcie o wiele trudniej przychodzi przyznanie się do winy. Jak zrobi coś złego, nigdy tego nie powie.

Zupełnie się z Panem nie zgadzam. Ja przyznaję się do winy, a co do racjonalizacji - racjonalizują panie i panowie.

Jasne. Mężczyźni też racjonalizują. Ale proszę się przyjrzeć, błagam, obiektywnie (*śmiech*). Kobieta nigdy się nie przyzna w słowach, nigdy winy nie zwerbalizuje, ale zacznie podawać mężowi czy kochankowi ulubione potrawy na obiad.

Przepraszając tym samym.

Tym samym przepraszając. Ale nie padnie słowo „przepraszam”, nie padnie słowo „nabroilałm”. Nie, w warstwie werbalnej wina leży zawsze po stronie faceta.

Nie będziemy się klócić, chociaż zostanę przy swoim. Czego Pan jeszcze nie lubi w kobietach?

Odpowiem tak: są niesamowite dziewczyny na studiach, mające szansę niebywałego rozwoju - mądre, wrażliwe, „naczytane”. Nagle zjawia się byle jaki facet, bo widzę, że jest byle jaki, i te dziewczyny rzucają dla niego wszystko. Zdradzają siebie. Oddają się komuś, komu nie warto poświęcać życia. Mając tyle świetnych i świetnych lat przed sobą, sprzedają coś, co mogłoby je ponieść w lepsze życie i wcale nie straciłyby przy tym miłości. A może przyszłaby lepsza. Tylko że ten pierwszy odruch wicia gniazda wytrąca je z drogi. Czasem jest też ciąg dalszy. Widzę go, kiedy przychodzą sensowne kobiety - bo ja wiem? -

czterdziesto-, pięćdziesięcioletnie, robić studia. To te same, które kiedyś poszły nierozsądnie za głosem serca. Teraz odchowały dzieci, odprawiły byle jakiego faceta i nareszcie wyzwolone, wolne, potrafią się cieszyć życiem i z niego korzystać.

Może to wynika z natury kobiet, które, jak sam Pan powiedział, są bardziej emocjonalne, bardziej uczuciowe.

Moim zdaniem to nic innego jak głupota. Nadto w naszym społeczeństwie istnieje pewien przymus założenia rodziny, urodzenia dziecka - najlepiej wcześniej. Kobiety często w te stereotypy pchają się wbrew sobie - tylko po to, aby spełnić oczekiwania społeczne.

Mimo że feministki tłuką im do głów: nic nie musicie, jesteście wolnymi ludźmi, żyjcie, jak chcecie.

Podstawą feminizmu jest coś, co zbudowała Simone de Beauvoir w fundamentalnym dziele z 1949 roku *Druga płeć* - rozróżnienie między dwoma rodzajami płciowości, zawarte w jej haśle: „Nikt nie rodzi się kobietą”. To mianowicie *sex* i *gender*. Nie ma tutaj, co wymowne, polskich odpowiedników. *Sex* to płeć biologiczna, *gender* to płeć w sensie społecznym, kulturowym. Zwłaszcza w Polsce działa takie poczucie, że *sex* narzuca *gender*, czyli płeć biologiczna z konieczności dyktuje czy też określa rolę społeczną. Jest więc ujmowanie kobiecej biologii jako fatum, jako - rzekomo „naturalnego” - przymusu bycia i zachowywania się w taki lub inny sposób. Tymczasem nie ma żadnego przymusu, jak mówiła Simone de Beauvoir, kobieta wcale nie musi być z racji swojej płci biologicznej żoną, matką, praczką, ma mnóstwo innych możliwości. Ale jest w tym coś głębszego. Mówi o tym przypadek Agaty Mróz, o której rozmawialiśmy, tej dziewczyny

sportsmenki, która zdecydowała się urodzić, wiedząc, że będzie się to wiązało ze śmiercią. I niby podjęła decyzję samodzielnie, autonomicznie, ale w moim odczuciu żyła pod batem dyskursu ideologicznego, nie wyobrażała sobie bowiem - nie potrafiła - innej możliwości. Owszem, zachowała się heroicznie, ale są rodzaje głupiego heroizmu. Zadała krzywdę nie tylko sobie, zabierając swoje młode życie w nicość, zadała ranę również dziecku, które będzie chowane bez matki. To straszne kalectwo. Mówię to z pełną odpowiedzialnością - jako ktoś, kto wyszedł z bardzo okaleczonych związków rodzinnych.

Mam więc wrażenie, że w Polsce kobiety, zwłaszcza młode, bardzo często działają pod tym nieświadomym biczem dyskursu. Na dodatek trzymają go w łapkach tradycyjnie i represyjnie ukształtowane kobiety ze starszych pokoleń. Nie tylko w Polsce zresztą. No bo kto jest najgorliwszym zwolennikiem tych straszliwych obrzezań kobiecych w Afryce czy w Azji? Matki tych dziewczynek. Z relacji kobiet, które wyrwały się z tamtego świata, wynika, że - owszem - ojciec chciał tego obrzeżania, ale to przede wszystkim matka walczyła o nie i była jego nieustępliwym narzędziem. Tak samo w rodzinach hinduskich i muzułmańskich, w świecie choćby arabskim, decydują dojrzałe, stare kobiety, które nie znają innego świata i stają się narzędziami przemocy bezpośredniej wobec młodszych kobiet, swoich córek i - szczególnie - synowych. W Indiach na przykład istnieje jedyne na świecie ogromne więzienie dla teściowych, które podstępnie - między innymi oblewając gorącym tłuszczem pod pretekstem nauki gotowania - zamordowały albo okaleczyły synowe.

Nie ma Pan wrażenia, że jednak jesteśmy świadkami realizacji koncepcji filozoficzno-antropologicznej zwanej feminizmem?

I tak, i nie. Jasne, że feminizm jest rzeczą bardzo ważną i wiele spraw załatwia. I mnóstwo ma jeszcze do zrobienia. Mam jednak wrażenie, że w Polsce feminizm się zatracił. Powiedziałem to kiedyś Magdzie Środzie podczas jakiejś debaty. W Polsce bowiem stracił z oczu miliony tradycyjnie żyjących kobiet - w imię słusznych często spraw, takich jak prowokowanie samców, żeby wyszli ze swojej samczości, z jej nieładnych nawyków. Tyle że w naszym kraju żyją właśnie dziesiątki milionów kobiet, które są we władzy tradycyjnego dyskursu. I są przekonane, że powinny tkwić w łapach patriarchy. Bo sobie bez chłopa nie poradzą. A Pan Bóg będzie się na nie srożył, jak się rozwiodą z mężem tyranem. Są katoliczkami.

Takich kobiet jest coraz mniej.

Całe szczęście. Ale te kobiety mają sprawy do załatwienia - mało zarabiają, poddawane są przemocy domowej, nie mogą doprosić się alimentów. Wychodzenie do nich z językiem radykalizmu - uzasadnionego, jak powiadam, ale jednak radykalizmu - buduje tylko przepaść. One chcą pozostać katoliczkami i tradycjonalistkami, ale zarazem nie doświadczać bicia i poniżania. Chcą zarabiać przyzwoicie i mieć lepsze emerytury.

Na Krakowskie Przedmieście w czasie manify wychodzi kilkaset, czasami tysiąc kobiet, z reguły ze środowisk uniwersytecko-artystyczno-studenckich. Tymczasem w Polsce mamy do czynienia z wielkim dramatem i jednocześnie z chęcią wyzwolenia się kobiet starszej generacji, które są poza feminizmem, ale mają swoje wyzwolenicze potrzeby.

Dlaczego jednak mówi Pan, że feminizm w Polsce się zatracił?

Bo jego ostrym składnikiem jest antyklerykalizm, który przybiera nieraz formy dzikie i traci rozsądek. Sam jestem zdystansowany wobec Kościoła, jestem agnostykiem albo niedowiarkiem, jak kto woli, krytykiem Kościoła, ale mam pełną świadomość, że nie wszyscy myślą tak samo. Oczywiście, że pewnego typu katolicyzm ponosi odpowiedzialność za dyskryminację kobiet w Polsce. Ale nie cały. I nie da się tego załatwić jednym radykalnym zdaniem. Często wśród feministek, na przykład u Kingi Dunin, widzę chęć „dokopania czarnemu” za wszelką cenę. Kinga miała mi za złe chociażby krytyczne posłowie do *Kodu Leonarda da Vinci* - nieważne było dla niej, że Brown wypisuje rzeczy niedające się pogodzić z elementarną wiedzą o dziejach religii, liczył się tylko negatywny osąd Kościoła. To ja zapytam tak: dlaczego w dość katolickim swego czasu

społeczeństwie włoskim - teraz coraz mniej - feministkom, kiedy skutecznie walczyły o rozwody, udało się wyprowadzić dwa miliony kobiet i zgromadzić je w wielkiej manifestacji na ulicach Rzymu? Czemu zaś polskim feministkom, walczącym o złagodzenie przepisów antyaborcyjnych - co się polskim kobietom słusznie należy - to się nie udaje? Feministki też nie były tymi pierwszymi, które zaczęły walczyć, kiedy miała wejść ustawa likwidująca fundusz alimentacyjny.

Zorganizowały się wtedy samotne matki, czasami dzieciaki jeszcze, czasami tak zwane proste kobiety bez większego wykształcenia, a dopiero później objawiły się feministki. Na domiar złego tym kobietom niebędącym członkami elit intelektualnych czy politycznych wydaje się, że mają do czynienia z dziwnymi paniami, które są im całkiem obce i niezrozumiałe w zachowaniach, w mówieniu, w sposobie bycia, w ideałach. Więc to nie tylko kwestia radykalizmu, ale problem zupełnej inności.

Jak Pana zdaniem można to zmienić?

Trzeba pomagać kobietom w rzeczach prostych, które nie wymagają zaraz ani światopoglądowych wyborów, ani radykalnych odstępstw od obyczajowej albo religijnej tradycji. Do nich przemawiałaby Ochojska, przemówiłaby pani doktor Elżbieta Adamiak, która jest katolicką feministką, intelektualistką uniwersytecką, ale nie chodzi na manifestacje. Zbawieniem w Polsce byłoby pojawienie się zatem bardzo rozległego katolickiego feminizmu. On też zresztą potrafi być stanowczy: zakonnice amerykańskie napisały kiedyś list do prymasa Glempa, protestując przeciw radykalnej ustawie antyaborcyjnej. Podobnie jak Glemp były przeciwniczkami aborcji, ale doskonale zdawały sobie sprawę, że nie tędy droga, nie przez zakaz i nie przez represje. I że jest to sfera osobistych wyborów, indywidualnej wrażliwości moralnej.

Wspiera Pan feminizm, a jego przeciwnicy mówią, że feminizm to utopia, bo jak możemy walczyć o równouprawnienie płci, skoro są dwie różne płcie i nic tego nie zmieni?

No tak, ale oni zakładają fatum biologiczne, o którym już mówiłem, polegające na tym, że płć biologiczna, *sex*, narzuca płć społeczną - rolę społeczną.

A nie narzuca?

Nie. Nie musi być Pani z konieczności matką, kucharką i żoną. Może być Pani zakonnica i traktorzystką, intelektualistką czy wędrowniczką. Zakłada się w tej promocji losowego przymusu, że to, co naturalne w ludzkim świecie, istnieje w postaci czystej. Nie istnieje w postaci czystej. Nawet zwierzęta domowe nie są naturalne, cóż dopiero ludzie. Istnieje coś takiego jak kultura, życie społeczne, które zaciera i odkształca to, co naturalne.

Panie Profesorze, dlaczego mężczyźni boją się wyzwolonych, wykształconych kobiet?

Bo siłą rzeczy łatwiej utrzymać się w swojej roli społecznej, roli pana i władcy, bez czynienia wysiłku.

Pan się takich kobiet nie boi?

Nie. Z wieloma czołowymi feministkami jestem zaprzyjaźniony. Czasem nawet wojuję z nimi w imię polskich kobiet, które nie są tak radykalne, są dość konserwatywne, ale mają swoje ważne potrzeby duchowe, społeczne, intelektualne, finansowe. To o nie najpierw trzeba walczyć. O ich prawo do dokonywania aborcji w pewnych, dramatycznych przypadkach. Tu jest punkt ciężkości. Nie w roztrzęsaniach nad prowokacyjnym całowaniem w rękę mężczyzny. Bardzo mi się zresztą ten gest Kazimierzy Szczuki podobał, ale od razu dał on patriarchalnym facetom kij do ręki. I mogli krzyknąć do woli: „Zobaczcie, jakie one są - prowokatorki, rewolucjonistki, chcą wszystko zmienić, zburzyć cały ład społeczny”.

Będę jednak bronić Kazimierzy Szczuki, bo uważam, że ten gest został zauważony i wywołał dyskusję, a o to przecież chodziło.

Jasne, byłby fajny, gdyby potraktować go jako gest autonomiczny. Tyle tylko, że oprócz Pani,

oprócz ludzi mediów albo świata uniwersyteckiego żyją kobiety przyzwyczajone do tego, że jeśli mężczyzna całuje je w dłoń, to wyraża w ten sposób szacunek czy tkliwość. A często jest to dla nich jedyny wręcz przejaw szacunku i tkliwości. I jak im teraz wytłumaczyć, że jest inaczej? Poddawane są różnym upokorzeniom: mają niższą pensję, faceta, który po alkoholu przychodzi i zachowuje się strasznie, są molestowane, poniżane w pracy na rozmaite sposoby - i oto nagle zabiera się im ten, może jedyny, gest normalny. Mało tego, ktoś zaczyna z tego gestu szydzić. Stańmy w sytuacji tych właśnie kobiet.

Gest Kazimierzy Szczuki - tak zresztą dla mnie sympatyczny - to kwiatek do kożucha. Zniknąłby, gdyby zniknęła sytuacja, która ten gest prowokuje. Gdyby gest pocałowania w dłoń nie był często jedynym wyrazem szacunku wobec do kobiet. Nie leczmy objawów, lecz ich przyczyny.

Nie znoszę także - muszę wreszcie dodać - jazgotliwego, bolszewickiego pop-feminizmu, który popiera wszystkie roszczenia kobiet tylko dlatego, że są to kobiety.

Nie ma Pan wrażenia, że męski świat nie radzi sobie z tą nową kobiecością?

Nie radzi sobie. Potrzeba ogromnej pracy społeczeństwa liberalnego, otwartego, pluralistycznego, aby pokazać, że są różne sposoby odgrywania ról społecznych. Że kobieta może być tą, tą i jeszcze tamtą. Że nie musi być żoną, matką i wierną Kościoła katolickiego, który przyznaje jej zwłaszcza w Polsce rolę służebną. Chociaż oczywiście rola zakonnice może być bardzo chwalebna. Wyznałem kiedyś w radiu miłość do siostry Chmielewskiej i nadal wyznaję. Bo to kobieta „z jajami”. Bardzo kobieca, urocza, inteligentna jak cholera, niezależna w swoim myśleniu, niewikłana w gry z męskością. Albo owa siostra z Katowic, Anna Bałchan, która pracuje z dziewczynami ulicznymi. Ona mówi językiem tych prostytutek, rozumie je, nie mizdrzy się, nie udaje i nie poniża. A jednocześnie wie, że dziewczyny ulicy mają w sobie rozmaite potrzeby duchowe, moralne i emocjonalne, i sprawia, że przez moment czują się ludźmi, nie zaś obiektami mechanicznie spełnionych potrzeb kierowców wielkich ciężarówek.

(...)

Z czego bierze się największy problem w porozumieniu się mężczyzn z kobietami?

Kobiety mają swój własny, odrębny język i mężczyźni swój. Jest jeszcze trzecia mowa, wspólna, ale czasami kobiety mówią do mężczyzn w swoim języku i na odwrót, a wtedy obie strony nie potrafią się zupełnie dogadać. No i te odrębne rytualne praktyki. Zauważyłem na przykład, że u mężczyzn kumpłowska usługa kosztuje zawsze pół litra, czasem litr. A u kobiet to bardziej skomplikowane, to złożony i subtelny system wymiany barterowej: „Upiecz mi ciasto, a ja ci dam te talerzyki, które ci się tak podobały”. Zauważyła Pani, jak fajnie handlujecie między sobą? Mało tego, umiecie wszystko doskonale przeliczać, wiecie, ile co jest warte. U mężczyzn wszystko jest proste - kosztuje właśnie pół litra, litr albo piwo.

Może to problem nie tylko języka, ale innego rozumienia świata, innej emocjonalności. Cała masa ekspertów próbuje kobietom tłumaczyć mężczyzn i na odwrót.

Też, ale te dwa różne, nieprzekładalne języki są tu zasadniczym problemem. Tłumacz jest zawsze zdrajcą, jak mówi stare włoskie przysłowie. Poza tym przecież jedno łączy się z drugim, bo za pomocą także mowy wyrażamy nasze emocje, strachy, lęki. Raz czy dwa widziałem kobiety, które bawią się tylko ze sobą. To zupełnie niesamowite. Niepotrzebny im facet: tańczą ze sobą, chichoczą, uwodzą się nawzajem, wygłupiają się dziko i bardziej spontanicznie niż faceci.

Ale kiedy tylko pojawi się chociażby jeden osobnik płci przeciwnej, natychmiast się zmieniają.

Zaczynają grać różne role. Rywalizować między sobą, popisywać się przed tym facetem...

Podobnie jest z mężczyznami. Kiedy tylko pojawia się kobieta, przestają być naturalni.

Ale wrócę jeszcze do kobiet: kiedy są naturalne, są fantastyczne. Ale bywają też nawet straszne. Nie ma chyba bardziej hałaśliwych imprez niż kobiece. Przez długie lata mieszkała pode mną samotna kobieta, arogancka i aspołeczna skądinąd, która urządziła babskie schadzki. Boże! Hałas robiony

przez bawiących się mężczyzn to „mała psina” w porównaniu z tym, co działo się u mojej sąsiadki z dołu. Jak one tam wrzeszczały, piszczały, jak się zachowywały - to było nie do przeżycia, było potworne. Ponoć zresztą teraz wieczory panieńskie to pełna zgroza, a jak dostaniesz się w paść takiego wieczoru panieńskiego albo innej damskiej imprezy - przepadłeś. Kiedyś Piotr Gąsowski opowiadał w telewizji, jak został wynajęty jako „zabawiacz” na babskiej imprezie ze striptizerami. Wszedł na scenę i zobaczył kilkaset kobiet pijanych, roznamiętnionych, które wrzeszczały: „Pokaż węża! Pokaż węża!”. W pewnym momencie kilka z nich wdarło się na scenę, a jedna rzuciła się na niego i jednym szarpnięciem rozerwała mu koszulę aż do pasa.

Jesteśmy, Panie Profesorze, bardziej spontaniczne.

Bardziej spontaniczne, bardziej na luzie, bardziej wyzwolone w pewnych sprawach, w których mężczyzna ma mnóstwo zahamowań. Chociażby takich, że nie sprostą wymaganiom seksualnym swojej partnerki, nie sprostą oczekiwaniom społecznym czy materialnym. W związku z tym mężczyzna cały czas się stara i stresuje tym, że się stara, i stara się dlatego, że się stresuje... Rodzi się więc rodzaj błędnego koła, z którego powinien zostać wyzwolony. I tutaj znowu zacytuję Simone de Beauvoir, jej fundamentalne przesłanie, że warunkiem wyzwolenia mężczyzny jest wyzwolenie kobiety, a model wyzwolenia kobiety jest modelem wszelkiego w ogóle wyzwolenia.

Wierzy Pan w przyjaźnię między mężczyzną a kobietą?

I tak, i nie. Bo zawsze jest pokusa, podejrzenie, że to może być coś innego, że się ta przyjaźń zamieni w inne uczucie. Chociaż oczywiście znam takie przyjaźnie, na przykład jeden z moich znajomych gejów przyjaźnił się z moją bliską znajomą.

Może dlatego, że był gejem?

Może dlatego, że był gejem. Jeden z filmów Woody'ego Allena pokazuje zresztą, jak to jest: mianowicie Allen gra tam nieudacznika, który stara się mieć dziewczynę. A żona jego przyjaciela, jego przyjaciółka także, doradza - to ta, to tamta, podsyła mu kolejne kobiety. I jak się te jego poszukiwania kończą? A tym, że nasz bohater łąduje w łóżku tej żony przyjaciela. I jak z tego wyjść? Allen nie daje odpowiedzi na to pytanie, zostawia wszystko w zawieszaniu. Ale mam wrażenie, że w relacjach damsko-męskich granica między przyjaźnią a miłością bywa cienka.

Jak zrozumieć kobietę, Panie Profesorze?

Nie podejmuję się tego zadania. Bytu, który jest szlachetniejszy, większy, rozumniejszy, bardziej wrażliwy, bardziej skomplikowany od nas, mężczyzn, nie podejmuję się pojąć. Jakże może mrówka zrozumieć lwa, a krokodyl - motyla?

Zapytam inaczej: jaka jest Pana recepta na udany związek z kobietą?

Nie ma recepty ogólnej. Poza płciowością jest bowiem to, co najważniejsze: indywidualne doświadczenie, indywidualne potrzeby. Otwarcie, wyzwalamie się ze stereotypów wyobraźniowych, z wszelkich stereotypów. One mogą być niezwykle brutalne i niszczące. Można zniszczyć ludzkie życie, życie drugiego człowieka, ponieważ jest się niewolnikiem stereotypów, kurczowo trzymającym się narzuconej nam drogi. Narzuconej nieraz do tego stopnia, że bierzemy ją za naszą własną najgłębszą prawdę, za nasz wewnętrzny wybór. Nie jesteśmy przecież monogamiczni, a kultura czy religijność narzuca nam monogamiczność. To źródło wielu tragedii, a także zafałszowania. W Polsce prawie połowa ludzi się zdradza (statystyki nie kłamią), myślę, że może nawet więcej, bo w tej sferze tak zwana ciemna liczba jest zapewne spora. I teraz jaki jest wniosek? A zdarza się tak, jak to było w przypadku żony Victora Hugo oraz wielkiego krytyka literackiego, Charles'a-Augustina Sainte-Beuve'a... Kochali się oni ogromnie nawzajem, z wielką tkliwością, ale nią rządził stereotyp obowiązku małżeńskiego, obowiązku wierności. Mogła wyjść ze związku z Hugo - skądinąd nienasyconego potwora seksualnego, który mechanicznie kopulował przynajmniej kilka razy dziennie nie tylko z żoną, ale z każdą w miarę chętną kobietą napotkaną „po drodze”, z każdą praczką czy służącą. W literackim środowisku dziewiętnastowiecznej Francji

nie poniosłaby z tego tytułu większych konsekwencji. Mogli być zatem wolni, związani ze sobą i szczęśliwi. A kopolant Hugo jakoś by to przeżył z pewnością, on był zupełnie nieczuły. Ale żona została przy Hugo i zafundowała nieszczęście i sobie, i Sainte-Beuve'owi, który zmarł wcześniej, bo się zdręczył tą ogromną, doprawdy ogromną, niespełnioną miłością.

Ale do czego Pan zmierza? Propaguje Pan rozwody i uważa, że jak się ktoś źle czuje w związku, powinien odejść?

Mamy stary model rodziny. W Polsce wynosi się bowiem bezustannie tak zwane wartości rodzinne - często formalnie, bo rodzina też bywa źródłem wielu, wielu nieszczęść. To nie znaczy oczywiście, że każda rodzina jest zła, że jestem przeciwny rodzinie. Jestem jedynie za uznaniem, że istnieje ogromny pluralizm form w relacjach między ludźmi. Także w kwestiach rodzinnych. Mogą być więc rodziny monogamiczne, proszę bardzo, ale bez zniewolenia, bez przymusu i presji społecznej. Mogą być związki partnerskie, homoseksualne, heteroseksualne, wszystko jedno. Krótko mówiąc, jestem przeciwny dyktatowi jedyne go wzorca. Ale też pamiętam - zwłaszcza z racji moich własnych przeżyć - że są i dzieci oczywiście.

Właśnie, a odpowiedzialność za dzieci?

Owszem, jest bardzo ważna. Ale - z drugiej strony - proszę zadać sobie pytanie: czy na dzieciach nie odciska się bardziej to, że na przykład jedna osoba w związku jest potwornie nieszczęśliwa? Bo dzieci to widzą, czują, często waży to na całym ich życiu. A może by tak postawić kropkę nad i. I powiedzieć otwarcie: „Jestem nieszczęśliwa”, „Jestem nieszczęśliwy”...

...odchodzę.

I odchodzę. Profesor Świda-Zięba, kobieta już doświadczona, powiedziała kiedyś, gdy dyskutowaliśmy w Klubie „Wysokich Obcasów” przed publicznością, mniej więcej tak: „Ślubowaliśmy dziesięć czy dwadzieścia lat temu komuś, ale ten ktoś się zmienił i myśmy się zmienili. Wobec kogo jesteśmy zobowiązani? Wobec tamtego kogoś, kogo już nie ma? Wobec innej postaci? Komu ślubowaliśmy, komu przysięgaliśmy, wobec kogo mamy zachować wierność?”. Kiedy przychodzi fascynacja, przychodzi głód uczuciowy, który chce zostać zaspokojony, mamy zatem problem. Przecież miłość nie rządzi się racjonalnymi zasadami. Nie można sobie zakazać miłości, nawet będąc żonatym czy mężatką.

Czyli uważa Pan, że w życiu należy walczyć wyłącznie o siebie?

Nie, nie tak. Należy walczyć o autentyczność, o prawdę, choćby była gorzka dla kogoś innego. O wolność też należy walczyć. Bo co? Zostaję w związku rodzinnym, jestem potwornie w tym związku nieszczęśliwa. A przecież zakochałam się w kimś drugim. I co się dzieje? Czy jestem uczciwa wobec partnera? Czy nie oszukuję? Kogo oszukuję, kogo nie oszukuję? A jak traktuję dzieci, żyjąc w uczuciowym zakłamaniu - „poświęcając się”, jak się często powiada? W życie wdiera się gorycz. Rozżalenie. I jest coraz gorzej. Czy nie lepiej więc powiedzieć otwarcie, że chcę odejść? Bo ci, którzy zostają ze sobą w takich sytuacjach, robią rzeczy dużo potworniejsze: tolerują zdrady, grają, niby to dla dzieci, które i tak czują, że coś jest nie tak, że oboje rodzice są nieszczęśliwi. Wszystko jest tu zgniłe, fałszywe. To trudne, dramatyczne wybory, oczywiście, ale czasami trzeba je podjąć szybko. Rozwód rodziców mocniej przeżywają zresztą dzieci dorosłe niż małe. Lepiej zatem wcześniej - tak uczy psychologia - niż później.

Jak filozof zamknie tę rozmowę? Jakim przesłaniem?

Nie mam przesłania, ale tylko chaotyczną garstkę zdań, rozsypanych niczym liście na wietrze. Miłość jest bowiem czymś, co jest najważniejsze, a jednocześnie to nasz największy kłopot. Najbardziej bolesna sprawa. Wzniosła i bolesna. Taka, wobec której wszelkie rozumy na nic. I zawsze też relacje między dwojgiem ludzi mają przynajmniej dwa ostrza. Oto zatem wolność, autentyczność po jednej stronie, po drugiej - obowiązek i odpowiedzialność. Oto zatem ekstaza i

udręka. Oto zatem i potworna alchemia: miłość piękna i szlachetna jakże często potrafi się przemienić w miłość chorą i złą... Oto zatem bezradność, tylko bezradność.

Więc co, zaufać instynktowi?

Nie wierzę w czystość instynktu. Chociaż nie... Ma Pani rację, trzeba zaufać temu, co jest w nas wolnością i instynktem. Bo jednak wolność nie może doprowadzić do czegoś złego. Myślę o ostatecznym jej wymiarze.

JESIEŃ I INNE CZASY

Ludzie się po swojemu dostosowują do pór roku, prawda? Mam znajomych, którym zimą niczego się nie chce, a jesienią zastanawiają nad sensem istnienia.

I tak jest od wieków. Niepokoiły mnie jednak zawsze metafory, jakich używamy, aby zdać relację z przełomowych wypadków polskich dziejów, od epoki rozbiorów poczynając. Mówią one o „pięknym maju”, o „powstaniu listopadowym” i tym „styczniowym”, a potem o „zamachu majowym”, „konstytucji kwietniowej”, „klęsce wrześniowej”, wreszcie o „październiku”, „marcu”, „grudniu” czy „sierpniu”. Mówią też o „odwilży” czy „przedwiośnie”, „wiośnie wojny, wiośnie urodzaju”, „zimie waszej, wiośnie naszej”. Bez dwóch zdań jesteśmy związani z przyrodą. Ale – mam niekiedy wrażenie – jakby biernie. Na północy Europy wyraża się to w pewnej skłonności, jak u Niemców czy Skandynawów, do metafizyki, wielkiej muzyki, niebywałej dramaturgii. Na południu – w żywiołowej radości narodów śródziemnomorskich. We Francuzach – którzy są tak pół na pół, część jest północna, część południowa – wszystko to się zgrabnie miksuje w dość ciekawą mieszankę. Natomiast u nas nie ma ani powiewu południowości, aktywizmu, motoryczności, ani północnej skłonności do metafizyki. A poza tym ta radykalna przemiana pór, jest ich sześc, tak na dobrą sprawę, bo przecież jest przedwiośnie i późna jesień, a listopad jest czymś innym niż wrzesień czy październik. Ta radykalna zmienność pór roku nie pozwala nam zachować witalnego pędu.

Chce Pan powiedzieć, że Polacy są ponurzy?

Raczej tak. Albo skłonni do sarkazmu, takiego cynicznego humoru, który czasem bywa wyborny, oczywiście, ale bardziej przypomina wisielczy dowcip pesymistów, który płynie z przekonania, że jesteśmy mocno nieszczęśliwi, zupełnie przegrani i nie mamy nic do stracenia. Ten humor zresztą na swój sposób tę nieszczęśliwość podkreśla.

Więc gdyby Polaków przypasować do tych pór roku, wysłoby, że jesteśmy późną jesienią?

Późną, późną jesienią. Jednocześnie cyniczni i patetyczni. Odarci ze złudzeń, tak jak drzewa są odarte z liści. Zawsze się coś wnas odzywa, jakaś niesamowita iluzja, której dajemy się ponieść – i zaraz potem przychodzi cynizm. Z jednej strony mamy poczucie mesjanizmu, a z drugiej – przekonanie, że jesteśmy byle jacy. Myśli Pan, że moglibyśmy być weselszym narodem? Myślę, że tak. Po iluś pokoleniach stabilizacji, dobrobytu będziemy zresztą weselszym narodem. Będziemy mieli gorsze dowcipy, ale może warto zapłacić tę cenę. Dobre dowcipy są zawsze po stronie tych, którym się nie powodzi i są uciskani. Rosjanie, Żydzi, Polacy w dobie zniewolenia, wszelkie zresztą mniejszości są zawsze celniejsze, inteligentniejsze na swój sposób. A poza tym mają swego rodzaju gorzko-ironiczną duchowość.

Jest taka niesamowita powieść rosyjska *Nowa filozofia moskiewska*, nie tłumaczona na polski, autorstwa Stanisława Piecucha, w której rozmowy bohaterów toczą się w „komunalce”, wspólnym mieszkaniu. I ten dialog, który tak gorzko, ironicznie, cynicznie kształtuje Piecuch, też w jakiejś mierze odnosi się do Polaków. Jedna z rozmów dotyczy duszy rosyjskiej (a my też mówimy o duszy polskiej). „Czy ty wiesz, z jakich powodów Rosjanie wynaleźli duszę rosyjską?” – pyta jeden z rozmówców. „Nie” – odpowiada drugi. „Ano wynaleźli ją z tych samych powodów, dla których Hindusi wynaleźli buddyzm, mianowicie z braku dostatecznej ilości przedmiotów codziennego użytku”. Bolesne, prawda? Ale tak to jest: ta polska dusza, rozbuchana, chłopsko-sarmacka, butna, a jednocześnie pokorna i małoduszna, humorzasta, cyniczna i patetyczna w jednym, jest odpowiedzią na rozmaite niedostatki życiowe. A ja bym wolał, żeby ta dusza była równa i trzymała się jednego timbre’u, nie ulegała nastrojom, które odpowiadają i porom roku, i czemuś tam jeszcze. Cudzoziemcy, jak przyjeżdżają do Polski, dziwią się, że Polacy tak są zajęci pogodą. Rozmawiają o pogodzie, zastanawiają się, jak to będzie z tą pogodą, są narkotycznie od pogody uzależnieni.

Z czego to się bierze?

To resztką przywiązania do tego, że byliśmy tak bardzo wystawieni na rytm naturalny, z racji agrarnej tradycji, ubóstwa jeszcze, bo tamta wieś nie była wsią bogatą, porządnie urządzoną, ale wsią potwornego wyzysku i strasznej biedy.

I nie żał Panu tych polskich pór roku?

Żał, ale uważam, że powinniśmy przestać być ich ofiarą. Zaslugujemy na to, aby być metropolitalnym społeczeństwem Zachodu, a to przywiązanie do rytmu natury nas zniewala. Trzyma za pięty i nie pozwala żyć takim rytmem, jakim żyją ci, którzy się już odwiązali od tamtego porządku. Nie chcę powiedzieć, że wyrodzili się czy wynaturzyli, chociaż to słowo znakomicie tu pasuje.

MIEJSCA, MIEJSCA SZCZĘŚLIWE

Nie uważa Pan, że Polacy kochają Zachód, nie doceniając jednocześnie Polski?

Właśnie dlatego próbuję nauczyć tych młodych, aby Polskę cenili.

Ale z czego to się bierze?

Przez długie lata nie dano nam do ręki narzędzi do czytania polskości.

I jak tę Polskę czytać?

Jako kraj wielobarwny, bogaty w doświadczenie, z różnymi tradycjami. Pastwią się bowiem nad nami rozmaite ideologie z ich topornymi „prawdulami” o jedności. Najpierw komunizm, teraz jakieś „prawactwa”, nie prawicowość, ale „prawactwa” właśnie, które memlą na okrętkę tę samą pustą, jałową mantrę: „Bóg, honor, ojczyzna”. Albo i liberalizm, który pokazuje, że istnieje jakaś idealna kraina otwartości, europejskości i pluralizmu, zupełnie abstrakcyjna. Jednorodna, nieodróżnicowana, bo przecież wszystko jedno, czy mieszkasz w Portugalii, czy na Hawajach.

A nie jest wszystko jedno?

Nie jest, bo jeśli mieszkasz wszędzie, nie mieszkasz nigdzie. Jesteś kimś, kto tak naprawdę staje się narzędziem pewnego systemu.

Tyle tylko, że ludzie mówią: „Jestem obywatelem świata, mogę mieszkać, gdzie chcę”. To źle?

Ależ dobrze! Niech mają kilka mieszkań, niech podróżują. Ale muszą czuć się związani z pewnymi wyjątkowymi miejscami. Te miejsca budują w nich duchowy porządek, tożsamość, poczucie sensu także. Bo skoro raz mieszkam w Wenecji, a za chwilę w Bergen – to, owszem, bardzo fajne, bardzo barwne, ale tak naprawdę nie mieszkam wtedy nigdzie. Jestem nikąd. Człowiek staje się wtedy kimś, kogo można zużyć i wyrzucić. Nie ma gdzie wrócić i nie ma żadnego oparcia ani duchowego, ani materialnego w niczym i nikim. Nie postrzega siebie jako przynależącego do szerszej całości. Nie ma tego czegoś, co go przekracza, a to bardzo istotne.

Te „zielone szkoły” są także po to, aby pokazać, że i w Polsce można się odnaleźć w szerokich przestrzeniach. „Prawactwo” nam podpowiada, właściwie wrzeszczy, że istnieje jedna narodowa karta, że Polak równa się katolik, ale kiedy zobaczymy te różne polskości, polskość prawosławnych, ewangelików, katolików, Żydów i arian, tatarskiego islamu... To często są miejsca szare, zniszczone, takie jak ten Raków nieszczęsny, gdzie po wielkiej tradycji ariańskiej nie pozwala się przetrwać nawet „śladowi śladu”, skromnej pamięci lokalnej.

Ale one świadczą o nas, naszej przeszłości, naszej przynależności i tożsamości. Ważne jest także to, co utracone, rozgrabione, bo ono również świadczy o naszej polskości.

Czemu ma służyć świadomość rzeczy utraconych?

Temu, żeby młodzi nauczyli się cenić, co ważne, bo rzeczy mogą być utracone, i wyrobili w sobie pewną czułość, wrażliwość – po to, aby zobaczyć to wielkie zniszczenie. Chcę, aby ci młodzi ludzie nosili w sobie poczucie grozy – lęku przed tym, co się już raz stało, a co się może powtórzyć. Aby nie dopuścić do repety, do powtórki z rozrywki.

Myśli Pan, że Polacy nie mają świadomości swojej polskości?

Myślę, że nie. Myślę, że stali się niewolnikami mitów, tych ideologicznych. Bo mamy tę polskość wyolbrzymioną, sprowadzoną do kilku haseł, także do hasła „Polak katolik” – które jest hasłem zgubnym i zupełnie nieprawdziwym – czy do mitu fałszywej jedności. Te mity są wyzute z dramatyczności, z dramatu upadku lub wielkości. Lekcja „zielonej szkoły” jest lekcją o wielkości, która została z naszej winy wdeptana w błoto, wyrzucona w pył. Jesteśmy przykładem takiego narodu, który sam siebie posłał na śmietnik historii. Zrobiły to jego elity.

Co Pan bierze dla siebie z tych wędrówek po świecie? Po co one Panu potrzebne?

Powiem tak, jeśli gdzieś wędruję, to nie tylko po, aby się zachwycać naskórkową urodą świata, takim doraźnym blichtrzem. Ale po to, aby zobaczyć, że piękno jest często niejednoznaczne, że wyraża się także przez rzeczy kalekie czy zdruzgotane. To raz. A po drugie: ma swój wymiar duchowy. Tożsamość to nie tylko moje biologiczne istnienie – ale rzeczywistość, którą można nazwać wspólnotą losu i wspólnotą odpowiedzialności za ten los. Odpowiedzialności, która nie jest tylko odpowiedzialnością za siebie samego.